ROK TRZECI.

№ 3.

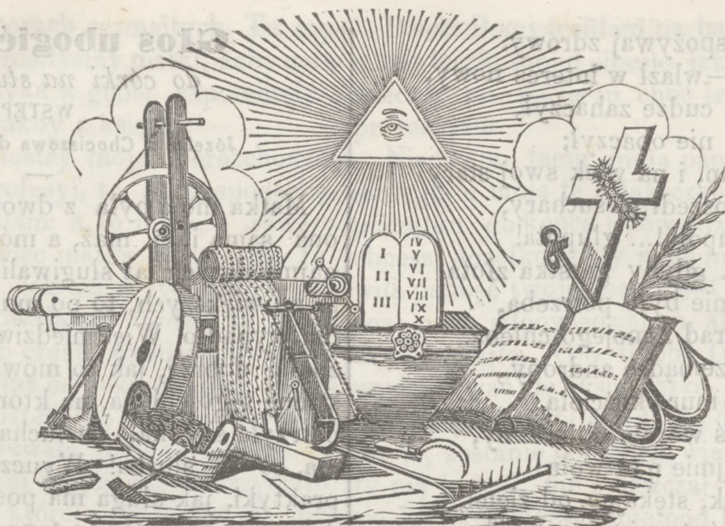
Warszawa.

Dnia 5 (17 stycznia).

1858.

Niedziela

2ga po Trzech Królach.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr, 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmocny, wieczny Boże, który mądrością swoją zarządzasz niebieskiemi i ziemskiemi istotami, wysłuchaj łaskawie modły ludu Twego, i udziel naszym czasom pokoju, który Ty tylko dać możesz. (Kollekta na wtórą Niedzielę po Trzech Królach).

Gawędy starego Macieja.

V.

Chciwość ukarana.

—

Wiecie już chłopcy, prawił stary Maciéj,
O owym kmieciu, co ze swojéj świty
Cudem wylazłszy na państwo, niesyty
Grzeszną chciwością łaskę Bożą traci.
Lecz nie on pierwszy, ani też ostatni;
Wielu się plącze w téj szatańskiéj matni,
I wzorów na to po świecie jak maku;
A ja wam powiem o jednym żebraku.
Tułał się biedak po ulicach w świecie,
Nędzny, wybladły, skurczony wedwoje;
Lecz darmo tracił wszystkie modły swoje,
Nikt nie opatrzył. Znękany nareszcie
Legł na noc głodny pod murem świątyni,
I dnia przygody przechodząc koleją,
Gwarząc sam z sobą, różne wnioski czyni:
Jak ludzie szczczęścia cenić nie umieją,
Jak wciąż niesyci, łakomi obrzydle,
Zamiast spokojnie spożyć, co dziedziczą,
Gonią i gonią za nową zdobyczą,
Aż wyjdą, jak ów Zabłocki na mydle.
Ot jak właściciel dawny tego domu:
Miljon zarobił w handelku na zboże,
Miljon! o Chryste!— gdyby to tak komu,
To wielbiąc święte miłosierdzie Boże,
Dałby już pokój—ale jemu mało,
Jeszcze większego zysku się zachciało;
Nabrał pszeniczki i puścił na morze,
I śliczną chatkę zbudował na lodzie!
Lecz kiedy liczy zysk swój spodziewany,
Smutna nowina w serce go ugodzi,
Że okręt morskie pożarły bałwany.
Ot i zarobek!— gdyby nie rodzina,
Chodziłby z torbą, tak jak ja chudzina.
Ten znów się rzucił na dostawy, śmiałek;
Poszło szczęśliwie, rok upłynął ledwie,
I wioskę kupił i kamienic ze dwie.
Dosyćby, dosyć!—masz chleba kawałek,

To dziękuj Bogu i spożywaj zdrowy.
Nie, jeszcze mało!—wlazł w interes nowy,
I wszystko swoje i cudze zahaczył,
I ani grosza z tego nie obaczył;
Przepadł z kretesem, i na wiek swój stary
Od marcypanów poszedł na suchary,
I tylu innych!... głupota!... głupota!
Gdyby mnie tyle!... gdyby garstka złota,
Jużby mi zysków nie było potrzeba,
Bogabym chwalił, rad z mojego chleba.
A gdy tak baje przemądre androny,
Spojrzy, aż oto zza muru kościoła
Wyjdzie człek jakiś worem objuczony,
I po imieniu uprzejmie nań woła.
Dźwignął się żebrak, stękając, od ziemi,
Popatrzył pilnie: Bógże wie, kto taki?
Dziad niby, z brodą, z włosami białemi,
Lecz go nie znawał pomiędzy żebraki;
I nie żebracka odzież i postawa,
I nie żebracka wielmożność w wejrzeniu.
Więc się frasuje, że go nie poznawa,
Kiedy nań woła jak brat po imieniu.
A ów mu rzecze: znam cię nie od wczora,
Wiem, żeś poczciwy, a przepadasz marnie;
Chcę ci dopomódz—nastaw twego wora,
Nasypię złota, ile go ogarnie.
Tylkoż bądź mądry, a bacznie dbaj o to,
Byś dobrze wyszedł; bo co w torbę wleci,
To ci na szczęście, to szczere już złoto;
Co się uroni, to podłe już śmieci.
Przyklęknie dziaduś, rękoma drżącemi
Rozpostrze torbę i wlepi w nią oczy;
I już się z dźwiękiem zdrój złoty w nią toczy,
Ciężkie dukaty aż ciągną do ziemi.
—Czy dosyć, starzec pyta się żebraka,
—Oh! jeszcze, jeszcze! błagalnie ów jęknie.
—Ejże ostrożnie! sakwa stara taka,
Już się rozłazi, ot, chwilka, a pęknie.
—Fraszki! syp jeszcze!— I na cóż ci więcej?
Wszakżeś już panem fortuny książęcéj;
Już ci bogactwem nikt nie zrówna w mieście,
A worek stary i pęknie nareszcie!...
Patrz złoto wkoło dziurami już świeci,
A nie odzyskasz, co zeń raz wyleci!...
—Nie! jeszcze garstkę maluczką wytrzyma.
—Ejże dość—Jeszcze szczypteczkę! —O biada:
Pękł stary worek, i złota już niema,
I starca niema, i znowu dziad z dziada.

Głos ubogiéj matki

do córki na służbę idącéj.

WSTĘP.

Józefka z Chociszewa do Czytelników.

—

Matka moja była z dworskich dworską, bo i ona sama i jéj mąż, a mój ojciec, wszyscy od najmłodszych lat sługiwali po dworach pańskich to po większych, to po mniejszych, jak któremu wypadło. Więc niedziwota, iż matka moja znała dobrze, jak to mówią, twardą i miękką stronę tego chleba, na którym zęby zjadła. Napatrzyła się ona, nasłuchała, nadoznawała sama, co to służba! Wyuczyła się też z własnéj praktyki, jak sługa ma postępować, aby się jej dobrze powodziło. Że tego wszystkiego chciała swoją rodzoną córkę nauczyć, i te nauczenia pospisywała, toć jasno jak dzień, że w nich niema żadnéj obłudności, i że są szczere, a z dobréj chęci. Gdyby (jak to bywa) rady te pokomponował jaki pan, albo jaka pani, możnaby myśleć, że dla swego interesu nauczają, jakiemi sługi być powinne. Aleź przecie jest to *głos ubogiej matki*, co sama była sługą!

A kto chce wiedzieć, jakim sposobem moja matka, chociaż sobie była z mizernego stanu, potrafiła te nauki napisać, i za czyją pomocą to się stało, to zaraz opowiem.

Oto, jedna bardzo litościwa pani, trzymała do chrztu Sgo moję matkę; od maleńkości wzięła ją do siebie, wprawiała do posługi w pokojach, a przytem wyuczyła ją czytać i pisać. Późniéj ta pani na oczy bardzo zapadła, a że nadzwyczaj w książkach się kochała, więc bywało po całych wieczorach kazała swojéj wychowance głośno czytywać, a najwięcéj pobożne książki, a prócz tego rozmaite prześliczne historye, albo gazety, bo i do tych wielką miała ciekawość. A w święta i niedziele, musiała matka moja przepisywać dla swéj pani to rejestra, to listy, to różne różności. I było tego, jak mi matka nieraz opowiadała, przez jakie lat sześć czy siedm; więc się w czytanie i pisanie doskonale wprawiła. I mnie potem kochana matka potrochu tego wyuczyła, ale już nie tyle, co sama umiała, bo ja jakoś nie miałam do nauki wielkiéj łatwości. Matkę to aż miło było posłuchać, nie tylko kiedy co czytała, ale nawet kiedy opowiadała, co widziała, co słyszała w Warszawie, poza granicą, gdzie się dużo z swojemi paniami najeździła, jakie zwyczaje i obyczaje po

różnych krajach i dworach rozmaitych. To my dzieci często gęsto prosiłyśmy matki, żeby nam to rozpowiadała, i języka w gębie zapominałyśmy a słuchałyśmy, jakby z książki.

Gdy już bracia i siostry moje porozchodzili się z domu, to do profesyi, to na gospodarkę, ja najmłodsza zastałam; a że miałam zawsze ochotę iść w służbę, więc matka dawała mi rozmaite napomnienia, jak się w tym stanie zachować należy. Turbowała się bardzo, że mnie bez opieki zostawi, bo często na zdrowiu szwankowała, a ojciec mój już od roku nie żył, ja zaś byłam jeszcze niedorostek. To bywało we święta i niedziele, że spisywała matka wszystko, co chciała, żeby się lepiéj mojéj głowy trzymało. A w téj wiosce, w któréj mieszkałyśmy, był ksiądz proboszcz (Boże świeć nad jego duszą, bom się dowiedziała niedawno, że już nie żyje) — otóż mówię był tam ksiądz proboszcz bardzo świętobliwy i miłosierny. I na jego to ręce przysyłano mojéj matce dożywotnią pensyjkę, co jéj zapisała ś. p. jéj chrzestna matka, a z któréj utrzymywałyśmy się obie, przy pomocy zarobku mego szyciem, i tego, co który brat, albo siostra przysyłali od czasu do czasu matce, która biedaczka już wtedy pracować nie mogła, będąc kaleką na nogi. Więc jak mówiłam, ksiądz proboszcz przynosił nam ten zasiłek, i parę razy tak się zdarzyło, iż zastał matkę moję piszącą sobie przy okienku, albo mnie czytającą głośno to, co matka napisała. Pochwalił to nam i kazał, żebym mu tę książeczkę przyniosła, jak ją matka skończy, a matce polecił, żeby gdzieniegdzie zostawiła papier niezapisany. Matka tej rady usłuchała. Ciągnęło się takie pisanie jeszcze blisko rok, bo nie szło sporo mojéj biednéj matce, która coraz częściéj na zdrowiu zapadała, aż nakoniec z wielkim żalem moim, zostawiła mnie sierotą!

Po pogrzebie zapytał mnie ksiądz proboszcz, czy mam tę książeczkę, co to nieboszka pisała? — odpowiedziałam z płaczem, że ją na zawsze zachowam, i wydobyłam ją z kieszeni. Wziął ją odemnie ksiądz proboszcz, mówiąc, że mi ją aż za dni kilkanaście odda. Jakoż nie tylko oddał, ale kazał ją ładnie oprawić, a ja zaraz zobaczyłam, że nawet wiele swoją własną ręką popoprawiał i podopisywał. Pobłogosławił mnie łaskawie na drogę ksiądz dobrodziéj (bo właśnie wyjeżdżałam do Warszawy na służbę) i przykazał, abym tak postępowała, jak ś. p. matka nauczała.

Dzięki Bogu trafiłam na bardzo dobrą służbę, a książeczki mojej pilnuję, jak oka w głowie i co wieczór po pacierzu choć trochę w niéj sobie przeczytam.

Niedawno temu moja pani, pierwszy raz dostrzegła u mnie tę książeczkę; przeczytała ją od początku do końca i powiedziała do mnie: czy chcesz Józefko, żeby niejedna sługa błogosławiła pamięć twojéj matki?—O! i owszem wielmożna pani, odpowiedziałam, ale nie wiem, jakby to być mogło. Oto, trzeba (mówiła daléj pani) wydrukować tę książeczkę, a któréj słudze te *przestrogi* i *rady* wyjdą na dobre, która czytając je, zostanie poczciwą, wierną, pracowitą, jak ty nią jesteś... nie spuszczaj oczów i nie rumień się Józefko (biorąc mnie pod brodę, dodała pani) a niech cię nie popsuje ta pochwała, którą miło mi ci oddać, bo sobie na nią zasługujesz; więc taka mówię sługa, pewnie westchnie za duszę twojéj matki. Chceszże tego?—Niech tak będzie, jak pani mówi, odrzekłam, całując ją w rękę, byleby mi nie popsuli mojéj drogiéj książeczki, gdy ją będą drukować. Uspokoiła mnie pani co do tego, bo kazała swéj starszéj córce co do słowa ślicznie przepisać tę książeczkę, napisała kilka słów do znajoméj sobie pani, co Czytelnię Niedzielną wydaje i posłała mnie do niéj. Przerzucała ona długo kartki téj książeczki, trochę poczytała, porachowała stronnice, zamyśliła się chwilkę, a potem rozpytywała mnie szeroko i długo, przez kogo, kiedy, gdzie i jakim sposobem ta książeczka była napisaną? Opowiedziałam jéj wszystko od A do Z, a ona zażądała, abym to wszystko poswojemu jak umiem opisała i jéj przyniosła, dodając, że to posłuży za przedmowę.

Wypełniłam jéj wolę z ochotą, choć mi to nie szło jak po maśle, bom w pisanie niebardzo wprawna, i wstyd mię było, żem w wielu miejscach pomazała i nie bardzo równo napisała; ale pani moja powiedziała, że oni tam w drukarni sami poprawią, w czem ja zmyłki porobiłam.

Koniec końców, niezmiernie mnie to cieszy, iż gdy dotąd tylko ja jedna korzystałam z tych nauk, teraz wiele innych moich koleżanek korzystać z niéj będzie, co daj Boże!

Józefka z Chociszewa, wnuczka ś. p. Jakóba, co powieści starego sługi napisał.

Pisałam 30 *marca* 1857 *r.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

IX.

—

Stary pan Marcin, o którym wam będę pisał, był lokajem u tych samych państwa, co ja służę, a dziś niedaleko od Warszawy mieszka sobie na kolonii, i wcale mu się nieźle powodzi. Dobry to człowiek, tylko wielki z niego weredyk; rznie prawdę ani pyta, nie przepuści nikomu i dlatego często nudny, bo niekażdy lubi takich rzeczy słuchać. Ho, ho! znam ja go na wylot, bo pod nim od maluśkiego chłopca wprawiałem się w lokajską służbę. Nieraz pocichu, tak sam w sobie, żeby nie słyszał, tom mu się dobrze nadogryzał i nasadziłem djabłami i piorunami, co się tylko zmieściło; ale pomału poznaję, że prawda zawsze przy nim — na świecie to już tak bywa, że o prawdę każdy się gniewa.

Moi państwo mieszkają różnie: w zimie w Warszawie, a latem pani na wsi, bo pan jest jakimścić znacznym urzędnikiem i tylko dopadkiem na wieś dojeżdża; a że gdzie pan każe, tam sługa musi, więc i ja za państwem to na wsi, to w Warszawie. Na jesieni w przeszłym roku zaraz przed świętami zjechaliśmy z całym naszym dworem do miasta, bo panienkę najmłodszą wydaliśmy za mąż, i w Warszawie miało się odbyć wesele. Cieszyłem się z tego niezmiernie, bo przy takiéj okazyi to człowiek nie jednéj może się spodziewać gratki i od różnych panów i od pana młodego; więc byłem i ochotny i wesoły, zwijałem się jak fryga po pokojach. Jednego dnia, kiedy uprzątnąłem się z robotą i miałem nakrywać do śniadania, otworzyły się drzwi od przedpokoju i z ogromnym indorem pod pachą wszedł pan Marcin; o mało biedaczek się nie przewrócił, bo gdy ze szczekaniem skoczył do niego mały pokojowy piesek, indor zagulgotał, trzepnął skrzydłami i tylko co mu się nie wyrwał.

— A weźże tego bestyjnika, odezwał się p Marcin do mnie cichym głosem, jakby się lękał, żeby go kto nie podsłuchał, zanieś kucharzowi, niech mu łeb utnie, bo ja do kuchni dostać się nie mogłem.

— A tam co za hałas? zapytał się mój pan z drugiego pokoju.

Marcin zamilkł, przyłożył palec do ust, dając mi znak milczenia, a sam na palcach z indorem pod pachą, pomalutku, pocichutku, troszkę przygarbiony zaczął się cofać ku drzwiom, bo widać, że nie chciał zdybać się z panem. Ja naturalnie nie odpowiedziałem ani jednego słowa, tylko niby coś pomrukiwałem, a Marcin doszedłszy do drzwi, delikatnie przycisnął klamkę, i już miał się wymknąć do sieni, kiedy pan wszedł do przedpokoju.

Marcin stanął jak wryty, zaczerwienił się po uszy, że zdawało się, iż mu się włosy zapalą — indor nasrożył się i zaczął gulgać żałośnie, bo kilku piesków, co przyszły za panem, otoczyło go dokoła, owąchiwało i miało go ochotę troszkę poskubać.

— Jak się masz Marcinku? odezwał się pan, chociaż już z siwą głową, ale jeszcze przystojny bardzo mężczyzna — a ty co tu robisz z tym indorem?

— Ej! nic, odrzekł Marcin, także z białą głową jak gołąb', i w ukłonie biorąc pana za kolano, mówił daléj, troszkę zacinając po mazursku: jaśnie pan... pono... te, bodajcie... Ot powiem jaśnie panu poprostu, bo do kręcenia ja nie włożony, że z moją Ewuleczką upaśliśmy indora, ale to bestyjnik tak się spasł jak karmnik nie przymierzając, jakby na jakie dziwowisko. Tak myślimy sobie: sprzedać go, weźmie się tam mało wiela; choćby i kilka rubli, to niedługo i znaku z nich nie będzie—więc umyśliliśmy sobie oboje z moją Ewuleczką zanieść go na święta jaśnie panu, bo takiéj drugiéj sztuki nie prędko nadybać. A że ja stary praktyk, i wiem, że jaśnie państwo różne ze mną odprawiacie ceremonie, tak chciałem go tylko wrzucić do kuchni, i sam...

— Uciec, dołożył pan, nie zobaczywszy się nawet ze starem państwem.

Marcin westchnął, poskrobał się w głowę i nachylając się do kolan pańskich, odrzekł:

— Co prawda, to nie grzech, miało się tak zrobić proszę jaśnie pana.

— To się bardzo źle miało zrobić, odezwał się pan, bo ty wiesz mój stary przyjacielu, że dla nas milsza twoja twarz, twoje poczciwe słowo, niż wszystkie indory na świecie. Dlatego zabierzże go sobie, przedaj, lub weź do domu, a...

— A jaśnie panie, przerwał Marcin drżącym głosem, jakby mu się na płacz zbierało, niech jaśnie pan takiéj nam krzywdy nie robi; a cóż powie moja Ewuleczka, jak się dowie, że jaśnie pan pogardził naszą chudobą? Przecię co mamy, to wszystko z łaski jaśnie pań-

stwa, toć ten głupi indor nas nie zubożý; a cóż on znaczy naprzeciw naszéj uciechy, żeśmy się choć nim państwu przysłużyli.

I Marcin za każdym razem co wymówił coś nowego, to nachylił się do kolan pańskich, indor zaklewkotał, pieski zawarczały, a ja zaciąłem zęby i zdusiłem śmiech w sobie.

— Nie, mój stary Marcinie, odezwał się pan, indora przyjąć nie mogę, bo wiesz przecie, że ja żadnych nie biorę podarunków.

— O! mój Boże, odrzekł Marcin, kręcąc głową, przecięć ja tu nie przychodzę po żadnem przekupstwie, bo Bogu dzięki nie mam żadnéj sprawy, tylko ot tak z przychylności i z życzliwego serca dla jaśnie państwa.

— Dobrze to wszystko, umiem cenić twoję przychylność, ale podarunku przyjąć nie mogę, bo...

— A! mój Boże, przerwał Marcin, jaki też to jaśnie pan twardy człowiek! Mój jaśnie panie, mój drogi panie!

— Słuchaj Marcinku: zresztą przyjmę twego indora, ale pod warunkiem, że...

Pan zapewne chciał mu powiedzieć, że zapłaci, ale Marcin widać domyślił się tego, bo nie dał daléj panu mówić i odrzekł:

—Nie, jaśnie panie, stary Marcin, wybacz prostemu słowu, ale nie młody wróbel, coby się miał dać na plewę złapać; indor pójdzie do kuchni, a ja do mojéj Ewuleczki na kolonią, i przy tych słowach Marcin wydobył indora zpod pachy, a podając mi go, rzekł:

— Na, weź go Józefie!

— Czekaj, odezwał się pan.

Na ten rozkaz cofnąłem już wyciągnięte ręce, czego nie spodziewając się Marcin, upuścił indora na ziemię, a ten czując się wolnym choć ze związanemi nogami, roztoczył skrzydła, zaczął kicać po ziemi, a pieski ze szczekaniem nuże go skubać po piórach.

Ponieważ piesków było kilku i wszystkie z piskliwym głosem, rumotu więc niemało narobiło się w przedpokoju. Indor machając skrzydłami, skakał popod ścianami, pieski ujadały jak ogary w kniei, pan się śmiał, a ja z Marcinem goniliśmy za tą czeredą, chcąc koniecznie uchwycić skaczącego ptaka. Wrzawa była tak wielka, że aż pani z trzeciego pokoju przyszła do nas; a gdy udało mi się przecie uchwycić indora, i pan opowiedział pani całą sprawę, która tylko za zapłatę chciała przyjąć podarunek, wtedy Marcin załamał ręce jakby z wielkiego żalu, i westchnąwszy, mówił:

— Oj! paniczu, paniczu! przebacz, że tak cię nazywam po staremu, ale stary Marcin służył jeszcze u rodzica jaśnie pana—jaśnie panią ot tylą zapamiętą panienką, huśtał na kolanach, przyciskał do swego serca, to wtedy i panicz i panienka nie było dnia, żeby od Marcina nie dostali jakiego podarunku: to pierwsze jabłko z drzewa, to ptaszka, to klateczkę, to jakie cacko własną zrobione ręką, ot, na co było stać Marcina. A to wszystko czy ja robiłem dla jakiéj zapłaty? Nie! boć wiedziałem, że tak panicz jak panienka nie mieli wtedy ani pieniędzy, ani nic takiego, czemby mnie mogli obdarzyć, i tylko mogli mnie ucałować, uściskać i nazwać swoim kochanym, poczciwym Marcinkiem. To jak panienka objęła mnie rączką za szyję, drugą zaczęła kręcić wąsy na paluszku, a panicz z drugiéj strony stanął i także ściskał mnie za szyję i całował po twarzy, to ja wtedy tak byłem szczęśliwy, tak mi serce biło z radości, żebym mego ukontentowania nie przedał za wszystkie skarby świata. A dziś, za tak marną rzecz, za jednego indyka, i jaśnie państwo... chcą mnie zapłacić... pieniędzmi.

To rzekłszy drżącym głosem stary Marcin, zasłonił twarz rękoma, i zatrząsł się cały jak dziecko w płaczu. Wtedy uczułem, jak i mnie coś koło serca zakręciło; pan poskoczył ku staremu, objął go z jednéj strony za szyję, z drugiéj znowu pani, i całując po twarzy, mówił:

— Mój poczciwy, mój kochany Marcinku, daruj mi, już przyjmę i indora i każdą rzecz, co mi przyniesiesz, tylko powiedz, czy tak cię całowałem?

— A ja czy tak wąsy na paluszku kręciłam, jak teraz? zapytała pani, bawiąc się siwemi wąsami starego Marcina.

— Tak, o! tak, odrzekł Marcin ze łzami w oczach, z czułością poglądając po panu i pani. O!— mój kochany paniczu, o moja kochana panienko! mój Boże! ileż mi szczęścia dajesz na tym świecie. Ot odmłodniałem, i zdaje mi się, że nieboszczyk pan rotmistrz rodzic panicza... te... jaśnie pana, siedzi w pokoju i marszczy brwi, jak panicz troszkę żywiej skoczy— starsza pani siedzi i kładzie z kart kabałę, a ja wychodząc nieznacznie, mrugam na panicza, bo mam w swoim pokoju wiewiórkę z kołem—pamięta panicz?

— Tę, co to uciekła do ogrodu? zapytał pan.

— Tę tę samą—oj! cóżto ja się za nią nalatał, a panicz co napłakał. I stary Marcin roześmiał się, a mówił dalej, nazywając panią panienką, jakby się to Bóg wie kiedy działo — a pamięta panienka wtedy, co to ja widziałem panienkę na klaczy starszego pana po podwórzu?

— Na bułance ? zapytała pani.

— A tak, mruknął Marcin, z radosnéj chęci do śmiechu ledwo mogąc mówić, ta, ta sama, co jak pan i pani wyszli, to myślałem, że się pozagubiamy. Oj! zmyli wtedy głowę Marcinowi, ale potem starsza pani wzięła mnie do apteczki, i pocichutku na pocieszenie wychyliło się spory kieliszek jałowcówki. Oj! mój Boże, co to były za czasy!

— O czasy takie mój Marcinku to trudno! odrzekł pan, ale jałowcówka, to się znajdzie — chodź Marcinku, sprobujmy!

— Jeśli łaska jaśnie pana, odrzekł stary sługa w niskim ukłonie, a pani wzięła go pod rękę i prowadząc do drugich pokoi, mówiła:

— Pójdź, pójdź Marcinku, panienka twoja choć zestarzała się na ciele, ale cię kocha zawsze jednem sercem; chodź Marcinku, muszę cię przecie obdarzyć jakim gościńcem dla twojéj Ewusi...

— Otóż to najgorzéj moi jaśnie państwo!.. przerwał Marcin, że zaraz za wszystko chcecie płacić, a stary wasz Marcin choć biedny dziadowina, ma jednak takie bogactwo w sobie, co go nie opłaci, żeby kto posiadał skarby całego świata. Bo żebym tam nie wiem jak był smutny, zmartwiony i zgryziony, to jak tylko sobie wspomnę o paniczu i panience, tak mi się zaraz i serce i dusza uśmiechają.

Co się tam daléj działo, co mówili z sobą, tego już nie umiem opowiedzieć, bo nie byłem przy tem. Dowiedziałem się tylko później, że Marcin uprosił państwa, żeby przez czas wesela i różnych ztąd w domu termedyj on lokajował jak za dawnych czasów w liberyi, i żeby miał w domu takie nad całą służbą przewództwo, jak to kiedyś za młodych jego lat bywało. Jak się o tem dowiedziałem, co prawda, troszkę mi było markotno, boć Marcin zawsze i wszędzie byłby na przodzie, a ja dopiero za nim, i myślałem sobie: chciwy dziad, jeszcze mu mało. Przekonałem się jednak potem, że go niesprawiedliwie o chciwość posądziłem, bo kiedy się zakończyło wesele, Marcinisko ostatniego dnia przed swoim wyjazdem wieczorem, kiedy już państwo spać poszli, wydobył woreczek z kieszeni i pokazując mi go, rzekł:

— Patrzno Józefku, jak to mi woreczek napęczniał, chociaż wprzódy był chudy, jak chart. Panowie dobrze obdarzyli starego Marcina, ale ja nie dlatego wdarełm się do swojéj służby, żeby ci grosz zdmuchnąć zprzed nosa, bo Marcin już niepragnący niczego, tylko zmiłowania Bożego. Ale widzisz dlatego, że kiedy się żenili panicze, pan Jan, pan Walery, a szły za mąż dwie starsze panienki, to ja nad każdem z nich jak jechali do kościoła, zrobiłem znak krzyża Sgo, westchnąłem do Boga o szczęście dla nowożeńców i potem wysłuchałem Mszy Stéj na ich intencyą. I Bóg widocznie przyjmował moje modlitwy, bo wszyscy żyją, kochają się, są szczęśliwi, szanują się i są szanowani przez ludzi. Otóż kiedy ostatnia panienka, panna Emilia miała iść za mąż, ja sobie zaraz pomyślałem: cóż to ona ma być najgorsza, to tylko nad nią jedną ręka starego Marcina nie zrobi z błogosławieństwem znaku krzyża Sgo? I dlatego ten ostatni raz postanowiłem powrócić jeszcze do służby lokajskiéj, pobłogosławić panienkę, pomodlić się, bo bez tego nie mógłbym umrzeć spokojnie, i naradziwszy się z moją Ewuleńką, przyjechałem do Warszawy. Jak pragnąłem, tak się stało, pieniądze te więc chociaż mnie dane, do mnie jednak nie należą—weźże je, bo to twoje mój Józefie, użyj tylko ich poczciwie, nie zmarnuj, bo zdadzą ci się na stare lata.

To wyrzekłszy, Marcin, podsunął ku mnie sakiewkę; ja się wzdragałem, prosiłem, i po wielu dopiero ceregielach stanęło na tem, żeśmy się do równości pieniędzmi podzielili—na czem wyszedłem bardzo dobrze, bo Marcin różnym państwu lepiéj i dawniéj niż ja był znajomy, więc nikt go nie minął. Potem długo mi jeszcze Marcin opowiadał różne wypadki ze swego życia, jak wszedł do służby, jak się ożenił, jakim sposobem kupił sobie kolonią i jest teraz szczęśliwy ze swoją Ewuleńką; ale to wszystko później wam opowiem, a teraz wrócę się do indora, który nam tyle w przedpokoju narobił termedyi.

Otóż po ślubie, kiedy inni panowie wydawali bale dla państwa młodych, jednego wieczoru byliśmy u brata panowego. W przedpokoju staliśmy ja z Marcinem, i jeszcze kilku innych lo-

kai; wszyscy trzymaliśmy salopy i futra na rękach, żeby być gotowymi na każde zawołanie. W salonie muzyka grzmiała, panowie wywijali, służba roznosiła wino, ciasta, różne chłodniki, a z nas niejeden ślinkę łykał, bo widziałem, jak niektórzy strasznie po półmiskach poglądali miłosiernie, przestępowali z nogi na nogę i wzdychali. Kiedy tak stoimy, odezwał się jeden wysoki, bardzo przystojny, z wąsikami do góry zadartemi:

— Bodaj być czem czem, aby nie lokajem.

— Oj! zapewne, dodał drugi; człowiek się nastoi, nagłodzi, namarznie nieraz, że aż zęby ognia dają, a panowie to nic litości nie mają.

— O! mój to taki skąpiec, że mu wszystko tylko piszczy w garści; o grosz toby się dał zabić.

— Mój to nie skąpy, ale cóż kiedy ostatkami goni. Wczoraj mieliśmy komornika, wykręcił mu się tam jakoś, ale to nie na długo. Długów po uszy, to prędzéj późniéj zlicytują go i przedadzą. Dlatego jeślibyście wiedzieli gdzie o jakiem miejscu, to mi nastręczcie, bo niema tam co u niego robić.

— A to idź do mego starego, bo już tak znudniał, że jednéj godziny radbym go odstąpić.

— I po mnie będzie miejsce, odezwał się jakiś zpod pieca we fraku czarnym i przy zegarku z łańcuszkiem złotym; pan mój dobry człowiek, dał mi ładny złoty łańcuszek, ale już mi się przykrzy tak w jednem miejscu. Trzeba i gdzieindziej poprobować chleba.

— A to idź pan na moje miejsce, bo ja od Wielkiejnocy odchodzę.

— Odchodzisz pan? zapytało kilka głosów.

— Tak, odchodzę, bo mój pan żeni się, a z kobietami to zawsze urwanie głowy.

— Oj! zapewne, moja to cały dzień gdérze, gdérze, że nie wiem nawet, jak ją tam gęba nie zaboli.

— U nas bo znowu cicho i spokojnie, tylko straszne państwo zawsze w gębie, chociaż niema tego handlu, szewca, albo sługi, żeby mu nie byli winni.

— Czy tak?

— Moj bracie! bieda taka, że aż strach!

— A taki ładny powóz, takie konie, takie umeblowanie w pokojach.

— To tylko wszystko dla oczów ludzkich, a nieraz to jeść niema co.

— A! to dobrze im tak.

— Jabym już dawno odszedł od swego pana, ale widzicie, chory jest i choć tak jest niecierpliwy, że aż coś dziwnego dzieje się z człowiekiem, ale tylko wszystko zgryzę w sobie, w duchu ofiaruję mu niejednego djabła, i czekam cierpliwie, jak pójdzie do Abrahama na piwo, bo mi obiecał przy swéj śmierci dać całą swą garderobę.

— Ha! łatwo płakać, kiedy jest czem oczy obetrzeć.

Marcin przez cały czas rozmowy słuchał pilnie, ale widać, że mu się strasznie nie podobała, bo tylko między zębami sykał, mruczał, i kiedyniekiedy spluwał jakby ze złości. Nic jednak nie mówił, bo gdzietam jemu pochylonemu staruszkowi prowadzić wojnę z takim zuchwałym narodem, jak są lokaje? A nużby który rzekł mu jakie przykre słowo, toć starowina byłby się zamartwił. Więc słuchał, niecierpliwił się, ale nic nie mówił, dopiero jak jeden z lokai rzekł, wskazując na Marcina:

— Albo to, czy to litość, czy to sumienie, żeby takiego staruszka męczyć służbą i wyczekiwaniem po nocy w przedpokoju? O ho! niema już takich panów, jak bywali dawniej.

Marcin na te słowa wyprostował się, że zdawało się jakby urosł, oczy mu się zaiskrzyły, i trzęsąc ręką i głową, ze zgrozą odezwał się:

— Kłamiesz aspan, kłamiesz. Panowie zawsze jedni, tylko wyście do dawnych tak podobni, jak pudel do młynarza. Z wierzchu, to jest w nadskakiwaniu, w pochlebstwie, w rezonie, toście wszystkich prześcignęli, ale wewnątrz was....!

— A cóż to! przerwał jeden z lokai, czy to my pijaki, albo próżniaki, albo złodzieje?. Jeszcze się tam na mnie nic podobnego nie pokazało.

— Ani na mnie, ani na mnie, potwierdzili inni.

— Wierzę temu, mówił dalej Marcin, i ja do tego mówienia swego nie prowadzę, ale jeszcze raz powiadam, żeście tak podobni do dawnych lokai, jak pudel do młynarza; bo to wszystko chociaż koniecznie potrzebne jest w służącym, ale jeszcze nic prawie nie znaczy, gdy nie macie w sobie serdeczności dla swoich panów. Dawniej sługa to miał jednę tylko służbę w swojem życiu, syn następował po ojcu; to też rósł, starzał się razem ze swoim panem, z jego dziećmi. O każdem drzewie, budynku, o każdym meblu w pokoju wiedział, kto go kupił,

kiedy, z jakiego wypadku, i wszystko kochał, szanował, bo każda rzecz, na którą spojrzał, to mu przypominała coś z jego przeszłego życia. Wy co kwartał lub co rok prawie zmieniacie służbę; wszystko jak ptak przemknie się wam przed oczami, jak wiatr... dziś tu, jutro tam, i gdy dawni słudzy byli jak te dęby w lesie, co w jednem miejscu rosnąc po jakie kilkaset lat, wyrastają w ogromne drzewa, wy jesteście, jak owe młode drzewko, które co rok przesadzają w inne miejsce, to przy drodze, to przy mostku, to nad rowem, aż wreszcie więdnie i usycha.

Dlatego też gdy dawni słudzy ostatnią kroplę krwi oddaliby dla szczęścia swoich panów, wy obgadujecie ich, obmawiacie, wszystko złe wydobywacie na wierzch, a nawet spotwarzacie, żeby się troszkę uśmiać z waszego konceptu. A kto z was jest bez grzechu? I Pan człowiek; więc i pan grzeszyć może, ale wam zasię od tego, bo nie jest ten przyjacielem, co dobre tai, a złe po ludziach roznosi. Wy zaś choć słudzy, powinniście się jednak uważać jak przyjaciele swoich panów, a gdy służyć będziecie serdecznie, z miłością prawdziwą, to żeby pan był najgorszy, pokocha was. Ja nawet moi kochani! przed moją Ewuleczką mam moich państwa, ich dzieci, ich wnuczków w myśli i w pamięci. Wszystkich ich uważam, jak moje dzieci, bo prawie każdego znam od urodzenia, i kiedy jestem między nimi, to mi się zdaje, że stary Marcin odmłodniał, i że to wróciły się dawne czasy mojéj służby. Dlatego nie pan mnie, ale ja pana prosiłem jak o największą łaskę, żeby mi pozwolił na czas wesela panienki być znowu lokajem. I znowu zdawało mi się, że żyję przed pięćdziesięciu laty, że pan rotmistrz rodzic mego pana zawodzi w tańcu, pokręca wąsów i zarzuca wyloty u kontusza że, tam wnoszą zdrowia: kochajmy się! – oby się nam lepiéj działo! Bo to jak dziś wszystko było prawie dawniéj, tylko służba w przedpokoju nigdy tak brzydko nie rozmawiała o swoich panach, owszem wychwalała, każdy swego, a nawet z pięścią i z kułakiem, gdyby kto ważył się coś złego na jego pana powiedzieć. Jednego dnia z indorem choć dużo miałem zmartwienia i spłakałem się, ale nie ze smutku, tylko z serdeczności i z radości, że sobie rady dać nie mogłem. Kochajcie więc swoich panów, szanujcie...

— Marcinie! salopy, zawołał pan, wchodząc do przedpokoju.

Rozmowa się na tem ucięła, a gdy późniéj zabieraliśmy się do spania, Marcin rzekł do mnie:

— Józefku! nigdy nie bądź takim, jak tamci; kochaj szczerze twoich panów, szanuj ich, uważaj ich jak rodziców, jak siostry i braci, i nie zmieniaj nigdy służby; bo pamiętaj, że nawet kamień w miejscu mchem obrasta.

Przypowieści.

1. Praca, umiejętność z dostatkiem,
A lenistwo, chorobę z nędzą przynoszą ludziom.

2. Chłop rolą,
Kupiec zyskiem,
Rzemieślnik robotą
Żyją.

3. Czas,
Zdrowie,
Grosz
Marnie stracić,
Z żalem to zapłacić
Przyjdzie z czasem.

4. Gdzie obora pełna,
Ogrody sprawne,
Czeladź nieodarta,
Tam gospodarz dobry.

5. Złe położenie, w kradzież,
Próżnowanie, w nędzę,
Swawola, w grzech
Ludzi wprawiają czasem.

Od Redakcyi.

W dalszym ciągu ogłoszeń swych, w nr. 13 i 49 Czytelni z roku przeszłego zamieszczonych, Redakcya podaje do wiadomości, iż oprócz Kantoru Głównego, w domu Wizytek pod nr. 391. istniejącego, oraz innych, szczegółowo dawniéj wymienionych, otworzonym został obecnie nowy Kantor Czytelni Niedzielnéj u księgarza Neudinga, przy ulicy Żabiej, pod nr. 950*b*.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 30 grudnia (11 stycznia) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.